

Józef Jersak, szef pierwszej polskiej ekipy zimującej na Spitsbergenie, wychował się w Zelowie. Dziś mało kto o tym pamięta, a z każdym rokiem ubywa i tych, którzy słuchali jego opowieści w Domu Zborowym o tym, jak żyje się na lodowcu

O Józiu, co się mrozu nie bał

Konia z rzędem temu, kto wie, czy przyładek Thomas leży na północ czy też na południe od wyspy Greenwich. A kto potrafi znaleźć wspólny mianownik dla Zelowa i bazy Arctowskiego? Choć na to drugie pytanie odpowiedź jest łatwiejsza, to i tak niewiele osób pamięta, że szefem pierwszej polskiej ekipy zimującej na Spitsbergenie był Józef Jersak, zelowianin rzecz jasna.

Na zdjęciach na naukowca nie wygląda: ubłocony, w czapce duńskiego marynarza uginająca się pod wiadrami wypełnionymi podejrzaną mazią. W tle bezkresne równiny. Takie pamiętki przywiezione z dalekiej północy rodzina Józefa Jersaka przechowuje jak skarb. Podobnie jak pamięć o anegdotach z podróży. Tych nie brakło. Jedyny zelowianin, który miał okazję szefować bazie Arctowskiego na tym polu konkurencji bać się musi.

To paprotka na mrozie wyrosnie?

Kogo najmniej trzeba się spodziewać na Spitsbergenie, ile czasu warto zarezerwować na siedmiokilometrowy spacer, kiedy gorąca herbata ze spirytusem na nic nie pomoże? Odpowiedzi na takie pytania udzielić może tylko człowiek bywały, który nieraz ręce odmroził i niejedną polarną wiosnę i jesień ma za sobą. Kiedy pod koniec lat 70. prof. Józef Jersak przyjeżdżał do Zelowa na wieczory zborowe, posłuchać go przychodziły tłumy. Pokazywał skamieliny, czy ślady roślin odciśnięte na skałach. Gdy opowiadał o paprociach ze Spitsbergenu, wielu ze zdumienia otwierało usta. – Paprotki na Antarktydzie? – ks. Mirosław Jelinek sam takie spotkania pamięta. Mówi, że „niedowierzanie” to słowo, które najlepiej oddaje, co wtedy czuli wszyscy.

– Za każdym razem były tu bardzo wiele osób. Potrafił jak nikt opowiadać o dalekiej północy.

I to opowiadać językiem laików, od którego pewnie niejednemu specjalście zjeżyłyby się włosy. On sam, prof. Józef Jersak, jeden z najlepszych polskich paleontologów, doskonale wiedział, jak w niewielkim Zelowie opowiadać o ogromie lodowców, białych nocach, czy wiośnie na Wyspach Sztetlandzkich. Tych historii nikt przebić nie mógł z jednego prostego powodu: oprócz niego nikt z tych okolic nie miał okazji rządzić bazą Arctowskiego.

Jak Józio trafił na Spitsbergen

Zaczął się niewinnie. W szkole na początku nawet nie miał piątki z przyrody. Owszem, małemu Józiowi szło dobrze: na świadectwie trójek nie miał, ale botaniczne objawienie przyszło gdzieś w szkole średniej. Na studiach już był tego wybornym, potem była geografia fizyczna. Specjalizacje, nazwy, rozprawy jeża się od „logii” i „grafii”. Jednak tak naprawdę, gdy przyjeżdżał do rodzinnego miasteczka, wszystkich interesował tylko jeden aspekt: jak to jest na Antarktydzie. Józef Jersak miał o czym opowiadać. Na Syberię jeździł jeszcze pod koniec lat 60., w latach 70. bywał na Sztetlandach. Wtedy polskim naukowcom nie śniło się jeszcze posiadanie własnej bazy naukowej. Żeby móc przy niej pracować i jednocześnie załapać się na dwuletnią wyprawę badawczą, przeniósł się z Uniwersytetu Łódzkiego do Instytutu Ekologii Polskiej Akademii Nauk. Otrzymał mieszkanie, stypendium i wtedy zaczęła się przygoda jego życia: mógł razem z grupą najlepszych polskich fachowców jechać na Spitsbergen, gdzie miała powstać pierwsza w historii polska baza naukowa.

Wyprawa rozpoczęła się jeszcze w 1976 roku. Statek, którym płynęli polscy naukowcy, nazywał się „Zabrze”. 27 stycznia kotwice zarzucili w zatoce Livingstone przy przyładku Thomas. Na jednym z cypli może dwa miesiące wcześniej Amerykanie postawili mały baraczek. Polscy naukowcy ocenili, że w tym miejscu dużej bazy wybudować się nie da. To dlatego popłynęli na wyspę Greenwich. Tam teren był w porządku, ale problemem byli lokatorzy, którzy już na cyplu się ulokowali: kolonia pingwinów opanowała to miejsce wcześniej i miała do niego prawa przez zasiedzenie. Obok opuszczonego już baraku chilijskiego Polacy wbili tablicę z godłem i napisem w języku polskim: że tu właśnie tego dnia wylądowali. Tyle, że z osiedlenia się znowu wyszły nici. A ponieważ sąsiednią wyspę „zajęli” już Argentyni. Koniec końców trzeba było zdecydować się na Wyspę Króla Jerzego. To tam miała powstać stacja, dla której nazwa już była upatrzona: im. Henryka Arctowskiego.

W gościnę, przez lodowiec

Jeśli ktoś wyobraża sobie, że polarnicy wysiedli z „Zabrze” na brzeg, weszli do komfortowego budynku, otworzyli laptopy i spytali, gdzie tu można się napić gorącej kawy, rozczaruje się. Chcieli mieć gdzie prowadzić badania, to bazę musieli wybudować. Nie bez kozery pojechali ich ponad 70. Józef Jersak był szefem do spraw naukowych, ale z założonymi rękoma siedzieć mu nie dali. Budowa trwała raptem dwa miesiące, jeszcze dobrze nie zaczęli, a już odwiedzały ich statki z Chile, Argentyny i USA.

Na pierwsze zimowanie na Spitsbergenie zostawało w polskiej bazie 19 osób. Mówili zimowanie, a tak naprawdę reszta ekipy wyjechała stamtąd już w maju. Gdy zimową grupę zostawiali towarzysze z lata, dorośli mężczyźni mieli lzy w oczach. Tak przynajmniej wspomina to po latach Stanisław Rakusa-Suszczewski, szefujący grupie polarników, która na wyspę Króla Jerzego dotarła w styczniu. Skąd te lzy? Co innego być tu dużą grupą z gościnną w innej bazie, ewentualnie planami na kilka tygodni, a co innego wiedzieć, że kiedy okolicę skuje lód, ty nie masz już wyjścia: zostajesz z kolegami, którzy potrafią tyle co ty i liczyć możecie tylko na siebie.

Za całą grupę odpowiadać miał właśnie Józef Jersak. To, że była to dla nich pierwsza samodzielna zima w Arktyce, nie



Józef Jersak na Spitsbergenie

FOT. ZA: „ZELÓW, WSPÓLNOTA NACJI, WYZNAŃ, KULTUR”

oznacza, że zamykali się w bazie, pochylali nad wykresami i czekali aż mróz zelżeje. Wśród opowieści zelowskiego profesora były i te o odwiedzinach w sąsiednich bazach. Odwiedzina, na które ochota przychodziła największa właśnie w czasie, gdy przedzierać się trzeba było przez lodowiec, a pod nogami było „mleko”. Przy takiej okazji jeden z Argentynczyków powiedział, że „niedźwiedzia polarnego by się prędzej spodziewał, niż ich w taką pogodę”. Podobno po takim ośmiogodzinnym spacerze (a tyle czasu zajmowało pokonanie siedmiu kilometrów oddzielających obie stacje) jedynym ratunkiem dla przemarzniętych polarników była herbata ze spirytusem, stosowana jako panaceum przez uczestników wypraw wszystkich narodowości. Tyle, że czasami nawet ona nie pomagała.

Plany, plany, plany...

Już po powrocie do kraju Józef Jersak przeniósł się na Uniwersytet Śląski, gdzie był m.in. dyrektorem Instytutu Geografii. Mieszkał w Sosnowcu. Mieszkał, bo człowieka, któremu nie dał rady arktyczny mróz, w 1991 roku pokonał no-

wotwór. Jego grób odnaleźć można bez trudu na cmentarzu ewangelickim w Zelowie. Siedem lat po jego śmierci powstał projekt nazwania jednej z ulic w Zelowie nazwiskiem słynnego polarnika. Na tym się skończyło. EWA DRZAZGA

e.drzazga@dziennik.lodz.pl



Przyszły polarnik uczniem był dobrym, choć nie wybitnym. Przynajmniej było tak w trzeciej klasie szkoły powszechnej

FOT. ARCH. PRYWATNE

10225-A

Wygodny kredyt na oświadczenie!!!

Również na działalność gospodarczą!!!

1112-A

104204-A

NISKIE RATY

KREDYTY GOTÓWKOWE KONSOLIACYJNE I HIPOTECZNE

ul. Szewska 3 Płotków Tryb. (044) 649 85 40

wszystkie szkoły darmo!

Przeanalizuj tylko szkoły z programem szkół publicznych!

Zaoczne Licea nawet w dwa lata!

Zaoczne Policealne Szkoły

- administracja
- turystyka
- informatyka
- logistyka

Możliwość rezygnacji z nauki w dowolnym momencie, bez żadnych kosztów! (nie sądany podpisywania umów z deklaracją planowości)

COSINUS szkoły przyjazne uczniom

bezpłatne zatrudnienie do 2008 i 2009

www.cosinus.pl